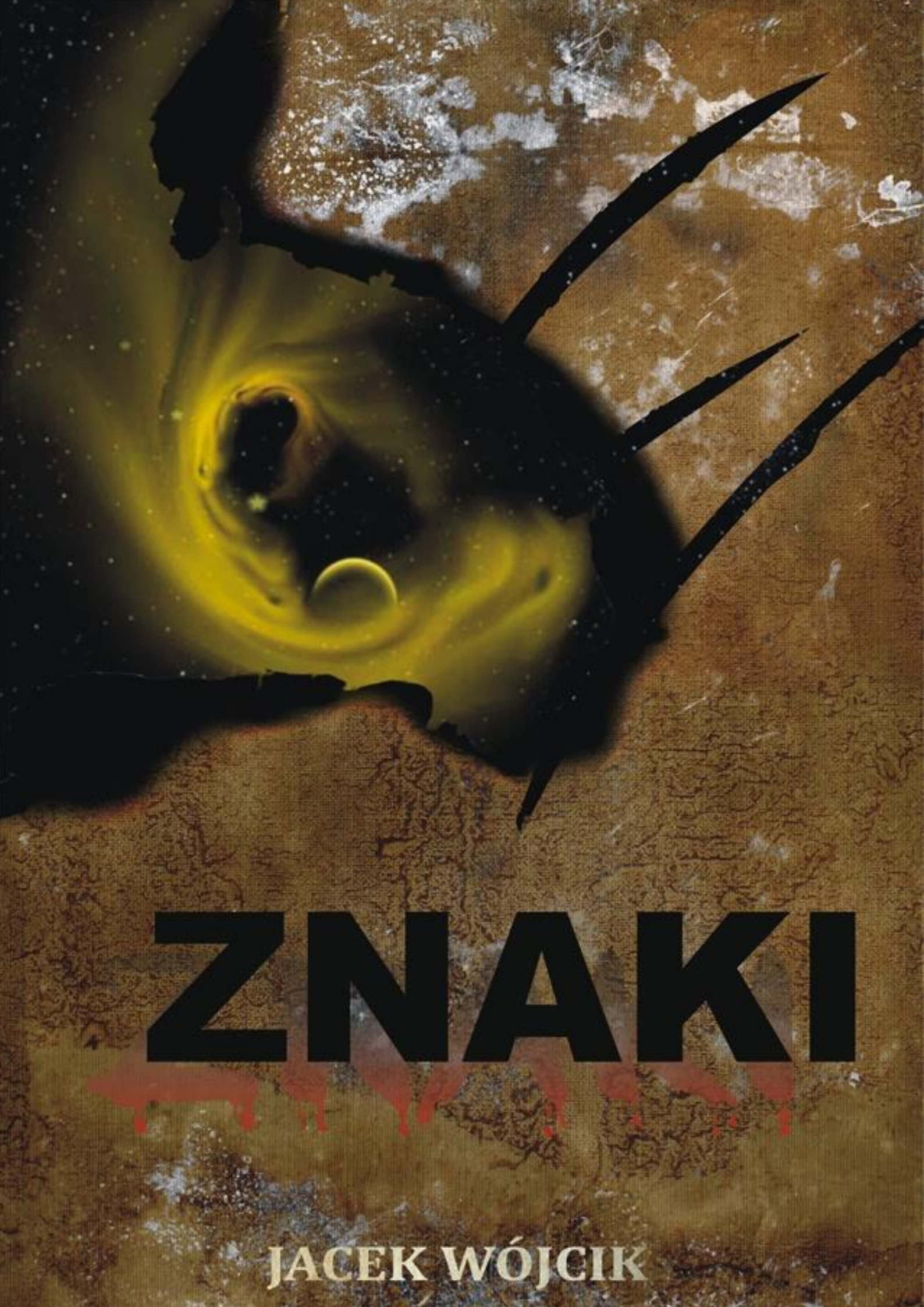
ZNAKI
JACEK WÓJCIK

Jacek Wójcik

ZNAKI

© Copyright by Jacek Wójcik & e-bookowo 2009

Grafika i projekt okładki: Jacek Wójcik

ISBN 978-83-61184-62-1

Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2009

Wszystkie wydarzenia astronomiczne i miejsca przedstawione w książce są prawdziwe i miały miejsce, tak jak to opisałem.

Cytaty zaczerpnięte z „Biblii Tysiąclecia”

…A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony. I wyjdzie, by omamić narody…

Ap. 20,7

– Witam wszystkich w ten szczególny dzień! – Głos radiowego spikera rzeczywiście emanował podnieceniem i radością. Przygłuszał nawet warkot silnika i ciche pogwizdywania taksówkarza. – Tak, tak 11 sierpnia 1999 roku, przez większość mieszkańców europy zostanie zapamiętany, jako dzień zaćmienia Słońca. Z tej okazji pozwoliłem sobie zaprosić do studia eksperta w tej dziedzinie, profesora Starsky'ego.

– Witam państwa – przywitał się nieśmiało profesor.

– Panie profesorze, proszę nam powiedzieć, czym tak naprawdę jest zaćmienie Słońca i dlaczego jest to tak niesamowite zjawisko?

– Zaćmienie jest naturalnym zjawiskiem astronomicznym, mającym swe cykle i prawidłowości – zaczął oficjalnie profesor, jednocześnie siląc się na obojętny ton. – Występuje, kiedy pomiędzy naszą planetą a Słońcem, znajdzie się nasz naturalny satelita, Księżyc. Wówczas to powstaje na ziemi gigantyczny cień.

– Jak często ma miejsce takie zjawisko?

– Zaćmienia są dość częstym zjawiskiem, jednak to jest szczególne z dwóch powodów.

– Mianowicie? – dopytywał dziennikarz.

– Po pierwsze przechodzi przez bardzo wiele państw, i przez to będzie mogło je podziwiać miliony ludzi. Po drugie, wieczorem, na dokładkę będziemy mogli podziwiać deszcze perseid.

– Zaćmienie i perseidy jednego dnia? Często ma miejsce takie zdarzenie?

– Bardzo rzadko. – Zaśmiał się profesor. – Właściwie to nie zadałem sobie wcześniej takiego pytania i nie potrafię na nie teraz odpowiedzieć.

– A gdyby musiał pan strzelać? – Zmuszał do odpowiedzi dziennikarz.

– Strzeliłbym, że coś takiego ma miejsce raz na kilka tysięcy lat…

Pasażerka taksówki nie słyszała już dalszej części rozmowy. Zatopiona we własnym zmęczeniu i senności, marzyła tylko o chłodnym napoju i wygodnym łóżku. Słońce przebijające się przez szybę, dodatkowo rozleniwiało i usypiało dziewczynę.

Taksówka zatrzymała się przed rzędem kamienic. Dziewczyna wysiadła. Była młoda, najwyżej dwudziestoletnia o bardzo długich, ciemnych włosach i takiej samej karnacji. Proste rysy twarzy i przeciętny wzrost, sprawiały, że mężczyźni nie odwracali się na ulicy, by raz jeszcze podziwiać jej urodę. Zgrabna figura ukryta pod obcisłymi czarnymi dżinsami i krótką białą koszulką polo, sprawiała, iż prezentowała się bardzo młodzieżowo. Marta, bo tak miała na imię pasażerka taksówki, uregulowała z kierowcą należność, następnie narzuciła sobie niewielki plecak i pociągnęła za sobą walizkę.

*****

Tymczasem park wyglądał, tak jakby znajdował się w oku cyklonu. Krzaki i drzewa uginały się pod naporem wiatru, niosącego ze sobą całą masę śmieci, liści, kurzu i piachu. Wszystko to kręciło piruety małych trąb powietrznych powstających i znikających w różnych miejscach. Ptaki

wciąż odgrywały swój kraczący koncert. Stawało się coraz ciemniej.

Nieznajomy przecisnął się pomiędzy krzakami, by stanąć bliżej ławki. Jeden z mężczyzn leżał na Marcie, dwaj inni przytrzymywali jej ręce. Szaleńcze śmiechy, wrzaski i bezsensowne bicie dziewczyny towarzyszące temu zdarzeniu, świadczyły, że mężczyźni nie zachowują się jak gwałciciele, ale jak rozwrzeszczane bestie, mające na celu tylko i wyłącznie zaspokojenie swoich podstawowych, prymitywnych żądz.

Brodaty nieznajomy patrzył z góry na przedstawienie mające swoją scenę przy nogach starej ławki. Spojrzał na słońce. Ostatnie promienie, jakie zdołały się przecisnąć zza tarczy księżyca, szybko bladły. Nastały nieprzeniknione ciemności. Wydawało się, że wszystko nagle zamilkło i umarło. Wiatr przez chwilę przestał wiać, ptaki przestały wydawać jakiekolwiek dźwięki. Nieprzeniknionej ciemności towarzyszyła niemożliwa do usłyszenia cisza.

– TAK!!!! – Był to, rozdzierający ciszę, okrzyk triumfu brodatego mężczyzny.

Następne, co było słychać, to ciężki oddech i charczenie zwierzęcia z poranionymi płucami. Trwało to tylko chwile, zaraz po tym, wiatr na nowo zaczął wiać, unosząc całą, możliwą do uniesienia, zawartość parku. Ptaki, pomimo ciemności nie milczały. Noc rozpraszała się za sprawą nikłego promyka, wynurzającego się zza tarczy księżyca. Marta płakała, lecz nie było już słychać żadnych śmiechów i pojękiwań oprawców. Jeden z nich leżał dalej na Marcie, ale wydawał się być nieprzytomny. Pozostali towarzysze leżeli dookoła całego zdarzenia. Oni także wydawali się być nieprzytomni.

Marta z trudem zepchnęła z siebie nieprzytomnego pijaka.

Wydostać się stąd, uciekać jak najdalej. Tylko takie myśli przebiegały teraz przez głowę Marty. Szlochając, rozejrzała się niepewnie dookoła, szukając swoich ubrań i piątego prześladowcy, jednak śladu po nim nie było. Najszybciej jak potrafiła założyła spodnie i naciągnęła na siebie podartą koszulkę.

– Eghhhrrr. –Był to odgłos wydobywający się z ust jednego z śpiących pijaków.

Przerażona Marta, czym prędzej zebrała swoją torbę i wybiegła z krzaków. Było już wystarczająco jasno by biec i z każdą chwilą stawało się coraz jaśniej. Marta biegła prawie na oślep, potykając się, co chwilę. Nigdzie dookoła, nie było widać śladu piątego uczestnika gwałtu.

– Co się pani stało??? – zapytał przerażony przechodzień, gdy Marta niemal staranowała go, wybiegając z parku. Miała podbite oko, z nosa ciekła jej krew tak, jak i z rozciętego czoła. Rany na twarzy i podarta koszulka, mówiły same za siebie. Obłąkanym wzrokiem patrzyła na podtrzymującego ją człowieka. Mężczyzna obok patrzył na zajście z przerażeniem, następnie wyciągnął telefon.

– Zaraz wezwę karetkę – stwierdził i wybrał numer.

Drugi mężczyzna, niemal siłą, zaprowadził Martę na pobliską ławkę. Karetka przyjechała po kilku minutach i zabrała dziewczynę.

– Dlaczego? Co ja zrobiłam? Dlaczego ja, po co? – Te, i inne pytania, kłębiły się teraz w głowie Marty, ale żadna odpowiedz nie nadchodziła. Nie było wyjaśnienia.

Przez małe okienko ambulansu Marta spoglądała na niebo, było bez jednej chmurki, a słońce świeciło tak samo jak każdego innego dnia. Ludzie na ulicach, obejrzawszy zaćmienie powrócili do swoich codziennych zajęć. Marta, leżąc na noszach, przykryta kocem, patrzyła na to wszystko pustym wzrokiem. Masując sobie dłoń spojrzała na zegarek, był rozbity. Zza stłuczonego szkiełka, wskazówki wskazywały dwunastą dwanaście.

W szpitalu, na izbie przyjęć, nie było wielu pacjentów, wiec Marta od razu została opatrzona przez dyżurnego lekarza.

*****

Parafia, w której służył ksiądz Jerzy Gelan, miała kościół przypominający swą architekturą wielką koronę, zwieńczoną na środku krzyżem. Każde z ramion korony, tworzyło potężne okno z witrażem w środku, przedstawiającym różne sceny z biblii. Czerwone cegły, z jakiej był zbudowany, doskonale kontrastowały z równo przystrzyżoną zieloną trawą okalającą budynek. Piętnaście metrów za kościołem, znajdowały się budynki zakrystii, zbudowane z takiej samej czerwonej cegły, ale architekturą przypominały równo ułożone pudełka po zapałkach z wystającymi balkonami.

Jurek właśnie odprawiał mszę. Był to brunet średniego wzrostu, z okrągłym małym nosem i tak samo okrągłymi policzkami. Owe policzki tak, jak i okolice pasa zdradzały niewielką, choć widoczną nadwagę księdza. Niedawno obchodzone trzydzieste piąte urodziny, uświadomiły mu na dobre, że lata młodości zdecydowanie ma już za sobą. Szare oczy oprawione grubymi brwiami, były zadumane, a wyczytać w nich można było szczerość i powagę.

Niewielka ilość osób zgromadzonych w kościele przyklękła, gdy Jurek uniósł w górę opłatek.

– Oto ciało Chrystusa – powiedział i podniósł opłatek eucharystii.

Cichy szept modlitwy rozniósł się echem po kościele. Ksiądz przeżuł eucharystię. Po chwili ponownie wzniósł ręce, tym razem z kielichem.

– Oto krew Chrystusa.

Nachylił się delikatnie, by wypić wino z kielicha. Odmawiając krótką modlitwę, spojrzał na zawartość naczynia i zamilkł w połowie.

W kielichu, zamiast przeźroczystego, białego wina, które doskonale znał, była czarna, cuchnąca i gęsta ciecz. Zawahał się przez chwile, przyłożył kielich do ust i przechylił, ale tak, by nie wypić czarnej cieczy. Odstawił ostrożnie kielich, spojrzał mimowolnie na zegarek i odnotował, że jest dwunasta dwanaście. Resztę mszy odprawił najszybciej, jak to tylko było możliwe. Po zakończeniu posługi i zejściu do zakrystii, nerwowo zaczął się rozbierać z szat liturgicznych.

– Maćku – zwrócił się do ministranta, który usługiwał mu do mszy. – Możesz mi przynieść moją torbę, jest w pokoju katechetycznym.

– Dobrze – odrzekł posłusznie Maciek i udał się do wskazanego pomieszczenia.

Jurek odprowadził wzrokiem chłopca, poczekał aż zamknął się za nim drzwi i szybko podszedł do szafki, gdzie ukryty był mały plecak. Wyciągnął z niego butelkę, którą szybko otworzył i wypił część zawartości.

– Drzwi są zamknięte… – powiedział, wchodząc Maciek. Jego głos załamał się po tym, co zobaczył.

Jurek trzymał jeszcze butelkę przy ustach i na dodatek zakrztusił się. Maciek z pewnością widział, co robi ksiądz. Wytrzeszczył na niego swoje niebieskie oczy i nie wiedział, czy wchodzić dalej do pomieszczenia czy wyjść.

– Już… już nie… trzeba… – wymamrotał Jurek, wciąż krztusząc się. – To paskudne lekarstwo… możesz już iść.

Chłopiec wszedł jeszcze na chwile do pokoju, zabrał swoją torbę i wyszedł. Jurek obwiniał się podwójnie, po pierwsze za brak silnej woli, by nie sięgnąć po butelkę, a po drugie, za brak ostrożności, gdy już zdecydował się na mały łyk. Ksiądz zakręcił buteleczkę, schował na miejsce i wyszedł z powrotem do kościoła. Teraz był całkowicie pusty. Wierni uczestniczący w mszy dawno już wyszli.

Zbliżył się do ołtarza. Rozglądał się na boki, jakby spodziewał się, że ktoś może go przyłapać na potajemnym czyszczeniu kielicha.

– Co to mogło być? – pomyślał.

Niedaleko od ołtarza stał mały stolik, na którym ustawione były naczynia liturgiczne. Ksiądz powoli podszedł do stolika i zajrzał niepewnie do środka kielicha. W środku, nie zobaczył niczego niezwykłego. Wino, którego nie wypił, dalej tam było i miało jak najbardziej prawidłową, przeźroczystą barwę. Kielich także nie wzbudzał najmniejszych podejrzeń, ksiądz obejrzał go dokładnie z każdej strony, następnie powąchał wino, jakie pozostało w środku.

Aromat wydawał się taki sam, jaki zwykle towarzyszył mszalnemu winu. Powoli przechylił kielich i spróbował jak smakuje zawartość. Tu także nie miał powodu do zdziwienia. Smak w niczym się nie zmienił, nadal było to takie samo wino mszalne, jakie pijał wielokrotnie w czasie odprawiania mszy. Z mieszanymi uczuciami, szybko wypił resztę wina, raz jeszcze obejrzał kielich, następnie wytarł go chustą i odłożył na miejsce. Upewniwszy się, że wszystko jest w należytym porządku, szybko opuścił kościół i wyszedł na placyk przed drzwiami wejściowymi. Grupka księży z parafii rozmawiała między sobą i spoglądała w niebo przez okulary. Jeden z nich pomachał w kierunku Jurka.

– Chodź Jurek, zaraz się zacznie – ponaglał go ksiądz, następnie podał mu mocno okopcone szkło.

– Dziękuję – powiedział, biorąc do ręki brudne szkło.

Jurek spojrzał w niebo i zobaczył tarczę słoneczną przysłoniętą w połowie przez księżyc.

*****

…ma wypisane imię, którego nikt nie zna prócz Niego…
a imię jego nazwano: Słowo Boga…

Ap. 19,12

Wieczorne słońce, przenikając przez grube zasłony ledwie oświetlało stare mahoniowe biurko. Secesyjna lampa nie była włączona, by oświetlić rzeczy, jakie znajdowały się obok. Telefon stylizowany na lata dwudzieste, kryształowo-miedziany przycisk do papieru, metalowy kałamarz i szarą zwykłą teczkę przewiązaną sznurkiem.

Mężczyzna, siedzący w ciemnozielonym, perkalowym fotelu, odwiązał sznurek i wyjął dokumenty z teczki. W środku znajdowały się pliki pożółkłych kartek. Część z nich zapisanych było drobnym pochyłym pismem, część zadrukowana pismem maszynowym, poprzeplatanym odręcznie zrobionymi rysunkami. Mężczyzna z wolna przerzucał kolejno kartka za kartką, jakby dokładnie znał zawartość i sprawdzał jedynie, czy wszystko jest na swoim miejscu. Dźwięk dzwonka przerwał przeglądanie stron.

– Tak – odezwał się cicho do słuchawki.

– Jutro zaczynają – odezwał się głos w słuchawce. – Sporo ludzi, bardzo duży obszar. Trochę większy niż zakładaliśmy… mogą znaleźć…

Po tych słowach nastąpiła chwila ciszy.

– Jakieś nowe instrukcje? – odezwał się ponownie głos w słuchawce.

– Nie, działaj tak, jak ustalone – odpowiedział mężczyzna i odwiesił słuchawkę.

Światło, jakie dała lampka z biurka, ukazało gabinet wypełniony dębowymi, grubo ciosanymi meblami z początku wieku. Ściana naprzeciw biurka od podłogi niemal po sufit wypełniona była pułkami z bogato zdobionymi tomami, oprawionymi w skórę. Na ścianie przy drzwiach wejściowych wisiała wielka, oprawiona w drewniane ramy płócienna XVII-wieczna mapa świata. Poniżej stała komoda z grubymi kutymi klamkami w kształcie paszczy lwów. Drewniana podłoga sprawiała wrażenie, jakby przed chwilą została wypolerowana, a ściana za plecami mężczyzny ozdobiona była jedynie niewielkim portretem.

Właściciel gabinetu wstał z plikiem dokumentów w ręce. Był niskim, krępym, pięćdziesięcioośmioletnim, łysiejącym mężczyzną. W jego rysach twarzy i piwnych oczach można było wyczytać niezwykle twardy charakter i zaciętość. Okulary połówki, zawieszone na rzymskim nosie, świadczyły o wielu godzinach spędzonych nad naukową lekturą. Ten nos podobnie jak i imię, Olaf, odziedziczył po dziadku, którego nigdy nie widział, nawet na fotografii. Podobnie było też z ojcem, którego także nie poznał, bo ten zginął podczas ostatniej wojny.

Matka Olafa wychowywała go samotnie. Nigdy nie wyszła ponownie za mąż i całą swą energie poświęciła swemu jedynemu synowi. Niestety i ona odeszła przedwcześnie, zostawiając niespełna piętnastoletniego Olafa samego na świecie. Szok, jaki wywołało osamotnienie i strata rodziców, zmieniły jego psychikę i charakter na zawsze.

Po śmierci matki przez prawie tydzień nic nie jadł i z nikim nie rozmawiał. Sielanka matczynego wychowania zmieniła się w koszarową dyscyplinę, w której nie było miejsca na czułości i okazywanie uczuć. Olaf został przygarnięty przez brata zmarłej matki. Twardy charakter wuja sprawił, że chłopak po zaledwie dwóch latach wyprowadził się i zamieszkał w szkole z internatem.

Olaf był dzieckiem zamkniętym, miał mało kolegów, więc większość czasu spędzał na lekturze wszystkiego, co mu wpadło w ręce. Prawie pół wieku wytężonej pracy dało mu pozycję, jaką mógł się w tym momencie cieszyć. Sterował wielką i bardzo sprawnie działającą machiną składającą się z najlepszego materiału, jaki jest dostępny na ziemi – ludzi.

Wstał i podszedł do naprzeciwległych regałów z książkami. Robił to już wielokrotnie, jednak za każdym razem czuł to samo delikatne podniecenie. Rozejrzał się po pokoju. Spojrzał na zasunięte zasłony i zaryglowane drzwi. Regały z książkami znajdowały się w płytkiej wnęce. Po każdej ze stron, było zaledwie około dwóch centymetrów miejsca, dzielącego regał od bocznej ściany wnęki. Wyjął dwa tomy, znajdujące się przy lewej krawędzi, na czwartej półce od dołu. Na tylnej ściance, w miejscu gdzie były książki, znajdował się ledwo widoczny sęk.

Tylko człowiek wiedzący, czego szuka, mógłby go odnaleźć. Olaf mocno go wcisnął. Drewienko powoli ustąpiło, jednocześnie po lewej stronie odległość między końcem regału, a ścianą, zmniejszyła się o niecały centymetr. Nachylił się i włożył palce we wnękę na wysokości swych kolan. Pociągnął. Kolumna udająca ścianę wnęki odjechała z cichym szumem. W skrytce za filarem znajdowały się półki wypełnione dokumentami i bardzo starymi pergaminami. Półek było siedem i każda była oznaczona pojedynczymi wyrazami: FILADELFIA, SMYRNA, PERGAMON, TIATYRA, SARDES, LAODYCEIA. Olaf ostrożnie zrobił miejsce na teczkę, poczym włożył ją na jedną z pólek, oznaczoną słowem EFEZ.

Szafki te były jedynie częścią potężnego archiwum, jakie zgromadzili jego poprzednicy przez ubiegłe stulecia. Większość dokumentów znajdowała się w innych, znacznie lepiej zabezpieczonych skrytkach. Jedynie trzy osoby na całym świecie miały pełny dostęp do wszystkich materiałów.

Tajemnica, jaką strzegły, była warta więcej niż jakikolwiek skarbiec na świecie. Nie zawierały jednak miejsca gdzie ukryte są stosy złota i drogocennych kamieni. Zawierały wskazówki do czegoś znacznie bardziej cennego. Do źródła wiedzy.

Wielka, nieskończona i niemal niczym nieograniczona wiedza. Człowiek posiadający ją byłby wszechmocny. Błahostką byłoby dla niego bogacenie się, konstruowanie najśmielszych budowli, maszyn, leczenie śmiertelnych chorób, czy nawet przywracanie ludzi z martwych. Cała ta wiedza miała być nagrodą za opiekę i służbę nad jednym człowiekiem. Olaf miał niezwykłe szczęście, że to właśnie za jego życia miał się narodzić ów niezwykły mąż. Problem polegał na tym, że nikt nie wiedział dokładnie, gdzie i kiedy ma to nastąpić.

Prometeusz – jak o nim mówili, miał się począć w czasie zaćmienia, a urodzić później, podczas pewnego astronomicznego fenomenu. Poprzednicy Olafa już wiele lat temu zdołali określić dokładne daty. Jednak byli bezsilni wobec innych, niezbędnych w takich sytuacjach danych. Nie znali miejsca, a biorąc pod uwagę ilość żyjących obecnie na świecie ludzi, zadanie to zdawało się prawie niemożliwe.

Prometejanie, którzy kilkaset lat temu stworzyli bractwo, czekali w swych ciemnych i zimnych grobach w nadziei, że ich następcy odnajdą wszechwiedzącego Prometeusza, zaopiekują się nim i przywrócą ich do życia. Byli stowarzyszeniem, które niejako miało dwa dna. Obydwa były ściśle tajne, ale dopiero to drugie skrywało w sobie prawdziwy cel istnienia.

Pierwsze było wynikiem genialności założycieli. Tajna, elitarna organizacja, która miała na swych sztandarach wyjątkowo wzniosłe założenia. Rozpoczęła swe działanie od rekrutacji wybitnych ludzi. Dotrzeć do niej było stosunkowo łatwo, podobnie, jak i do jej członków. Mieli oni proste, a jednocześnie kuszące zasady. Chcieli całą wiedzę, jaką posiada świat wykorzystywać dla dobra ludzkości. Chcieli jednoczyć naukowców we wspólnej pracy, wspomagać wybitne jednostki

i sprawić, by świat stał się lepszym miejscem do życia.

Takie założenia sprawiły, że ten pion rozrastał się samodzielnie i po jakimś czasie stanowił niezależną potężną siłę. Jednak był to tylko parawan. Krąg wewnętrzny, jak o nim mówili sami wtajemniczeni, był niewidoczny i nieznany nawet dla członków oficjalnego bractwa. Najczęściej ludzie zaangażowani w pierwszy krąg, nigdy nie dowiadywali się o istnieniu tego drugiego, będąc przekonanym, że to, co robią jest słuszne i dobre.

Krąg wewnętrzny składał się z kilkunastu ludzi, którzy najczęściej byli rekrutowani z zewnątrz, przez starszych rangą i wiekiem. Najchętniej wybierano młode, wybitne i doskonale zapowiadające się umysły, mogące w przyszłości znacznie wzbogacić szeregi bractwa. Dzięki takiemu postępowaniu prometejanie niejako wychowywali swych członków, którzy później stawali się całkowicie lojalni i oddani. Dodatkowym bodźcem stawało się finalne poznanie prawdziwego celu bractwa. Wiedza dająca nieśmiertelność, wieczną młodość i nieprzebrane bogactwa, była wystarczającym atutem, by pozostać wierny ludziom, którzy tworzyli i wciąż tworzą zgromadzenie.

Prawdziwi prometejanie nie uczestniczyli w żadnych spotkaniach, konwentach czy rytuałach. Przez te wszystkie lata pozostawali w cieniu, tylko po to, by teraz na przełomie tysiącleci dotrzeć i zaopiekować się jednym nowonarodzonym dzieckiem.

Wszystkie te wysiłki spoczywały obecnie na barkach jednego człowieka. Pokolenia prometejan spoglądały na niego w nadziei spełnienia pokładanych w nim oczekiwań i obietnic. Wszystko miało się wkrótce rozstrzygnąć, a Olaf miał być osobą, która zagwarantuje, że wszystko pójdzie zgodnie ze scenariuszem opracowanym setki lat wcześniej.

Należało jedynie odnaleźć dziecko, zanim zrobi to ktoś inny.

*****

… *zapieczętuj to* (zachowaj w tajemnicy)*, co siedem gromów powiedziało i nie pisz tego*…

Ap. 10,4

– Czujesz to, co ja? – Michał nie wierzył własnym zmysłom. – Widzisz to, co ja? Bo chyba śnię, albo mam halucynacje… może to jakieś bakterie, które wdychamy?

– Spokojnie. Widzimy zapewne to samo… i też się dziwnie czuję i ten zapach… – Uspokajał go ksiądz.

W tej chwili trudno by było powiedzieć lub zrobić cokolwiek, co mogłoby wprowadzić ich w większe zdumienie. Nie wiedzieli, co robić i jak postępować. To, co zastali całkowicie odbiegało od tego, czego się mogli spodziewać.

– Jak to możliwe, żeby człowiek… żeby ciało mogło się tak zachować. Przecież musi tu leżeć, od co najmniej… – Michał nie chciał dopuścić do siebie myśli o tym, jak stary może być ten człowiek.

– Dwa tysiące lat. Tyle powinien mieć, jeżeli ten grób i mury pomieszczenia na górze są dziełem tych samych ludzi.

Jurek wykazał się chłodną kalkulacją, jednak w środku aż kipiał od wrażeń. Stali przy zwłokach prawdopodobnie mających około dwa tysiące lat, a mieli wrażenie, że staruszek zaraz wstanie i przeciągnie się po zbyt długim śnie.

– To on tak pachnie, czujesz?

Stali na wyciągnięcie ręki i bez wątpienia tak było. Kwiatowa woń rozchodziła się od ciała i szaty starca. Sytuacja, choć bardzo nieprawdopodobna zaczynała być dla księdza jasna, a przynajmniej tak mu się wydawało.

– Co to może być? – Wskazał na metalowe przedmioty spoczywające na piersi nieboszczyka. Były to trzy podłużne, prawdopodobnie srebrne przedmioty przypominających swym wyglądem dwa krótkie, zagięte sierpy i ostrze sztyletu.

– Nie mam pojęcia. Wyglądają jak jakieś narzędzia, ale czemu miałyby służyć i dlaczego spoczęły na piersi zmarłego.

Ksiądz przyjrzał się dokładnie srebrnym zabytkom. Spomiędzy palców zakrywających znaczną część wyczytał jedno łacińskie słowo: PATER.

– Pater – powtórzył cicho pod nosem. – Ojciec.

Teraz już wiedział, co, a właściwie, kogo tak naprawdę znaleźli. Ksiądz nie miał w tym momencie nawet najmniejszego fizycznego dowodu, co do prawdziwości swej teorii, ale całym swoim ciałem i całą duszą czuł, że ma rację.

– Ja wiem, kto to jest – wycedził.

– Co??? Skąd niby to wiesz? – Michał nie okazywał gniewu, czy ironii. Zbyt bardzo był zdziwiony temu, co czekało na nich wewnątrz krypty, by nie dać księdzu wiary.

– Boże, czy to możliwe? W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. – Jurek przeżegnał się. Jednocześnie obaj zobaczyli coś, co było jeszcze dziwniejsze od doskonale zachowanych mających dwa tysiące lat zwłok.

Ręce zmarłego poruszyły się odsłaniając w całości przedmioty spoczywające na jego piersi. Ruch był powolny i płynny i gdyby nie to, że obaj doskonale go widzieli, mogliby pomyśleć, że w ogóle się nie odbył. Następna rzecz, jaką zobaczyli była jeszcze bardziej zadziwiająca od niespodziewanego ruchu rąk. Dłonie, twarz, stopy i całe ciało leżącego zaczęło się zapadać. Skóra straciła swą barwę, ustępując miejsca szybko postępującym zmarszczkom i ogólnemu wysychaniu. Włosy z platynowych stały się szare i brudne. Oczy zapadły się do wnętrza czaszki.

Po chwili resztki zaschniętej skóry zmieniły się w proch odsłaniając nagie kości. Szata z śnieżnobiałej stała się szara, brudna i gdzieniegdzie przedarta. Teraz widzieli zwłoki leżące tu od dwu tysięcy lat dokładnie takie, jakie być powinny po tak długim spoczywaniu w krypcie.

– Jak to się stało? – Michał patrzył na kości czaszki, zaciskając w ręce jeden z srebrnych sierpów, który wcześniej spoczywał na piersi zmarłego.

Pozostałe dwa srebrne narzędzia trzymał Jurek i był tym nie mniej zdziwiony niż Michał. To, co niedawno zobaczyli i poczuli mogłoby każdego z nich przyprawić o zawał, a co najmniej o torsje i przyspieszony oddech. Tymczasem żaden nie odczuł i wciąż nie odczuwał najmniejszego strachu. Znajdowali się w dziwnym stanie, w którym uczucie lęku przestało istnieć. Mieli pełną świadomość tego, co zobaczyli, a pomimo to zupełnie nie dziwili się i nie bali. Zastanawiało ich jedynie, dlaczego trzymają w rękach srebrne narzędzia oraz, jak i kiedy je wzięli.

– Teraz jestem już pewien.

– Czego?

– To jest święty Jan Ewangelista – stwierdził Jurek. – I nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości.

W innych okolicznościach Michał być może by oponował, ale teraz… Sam własnymi zmysłami poczuł i przeżył najdziwniejszą rzecz w swoim dotychczasowym życiu. Był w stanie w to uwierzyć niemal od razu.

Stali tak jeszcze chwilę trzymając w rękach srebro i wpatrując się w siebie oraz w spoczywającego apostoła ewangelistę.

Zapach kwiatów zaczął opadać, zmieniając się w suchą woń pyłu. Atmosfera uniesienia i niezwykłości, jak nagle przed kilkoma chwilami się pojawiła, tak samo nagle rozwiała się w przestrzeni grobowca. Michał zauważył, że twarz księdza bardzo się zmieniła.

– Dobry wieczór. – Głos Millera dochodził od strony wejścia. – Nie przeszkadzam panom?

Koordynator wykopalisk świecił latarką po twarzach przyłapanych naukowców. W jego oczach mienił się błysk wściekłości i próżnej satysfakcji. Promień powędrował na ręce archeologów, w których błyszczały srebrne sierpy. W blasku latarki Jurek zauważył, że na przedmiotach przez niego trzymanych oprócz wyrytych krótkich inskrypcji znajdują się inne symbole.

Znaki te nie były wyryte ani namalowane. Wydawało się, że lekko zielonkawy blask bije z wnętrza metalu i jest widoczny z obu stron. Odwrócił szybko przedmiot. Miał rację, znaki były widoczne po drugiej stronie i to dokładnie tak, jak założył. Wydawało się, jakby były zatopione wewnątrz.

– Ładnie, ładnie… zanieczyszczanie znalezisk, nieodpowiedzialne zachowanie, próba kradzieży dzieł sztuki – wyliczał Miller. – Powinienem chyba wezwać policję. Co zamierzacie z tym zrobić? Bo jedno jest pewne, nie ujdzie wam to na sucho. Pana jeszcze jakoś jestem w stanie zrozumieć, ale ksiądz…

Stali jak wryci w ziemię. Nagła zmiana otaczającej ich aury i pojawienie się Millera było niczym przejście z gorącej wanny do zamarzniętego przerębla. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Obaj zdawali sobie sprawę, że nie wystarczy jakiekolwiek tłumaczenie, czy wymówka. Przez ostatnie

kilka godzin dopuścili się wielu nadużyć, za które groziły im poważne konsekwencje.

*****

…a Pan, Bóg duchów proroków wysłał swego anioła,
by sługom swoim ukazać, co musi stać się niebawem…
Ap. 22,6

Minęło kilka dni zanim Michał i Jurek ponownie mieli możliwość spotkania się i porozmawiania. Każdy z nich chciał raz jeszcze obejrzeć płótno, w nadziei znalezienia czegoś, co mogłoby rozwiązać, choć kilka z nurtujących ich pytań.

Płótno nie zmieniło się w ogóle. Stereogramy i symbole były na swoich miejscach, jednak nie dały żadnych nowych odpowiedzi, a wręcz tworzyły wciąż nowe pytania. Próby stworzenia rysunków przedstawiających którykolwiek ze znaków, za każdym zrazem kończyły się kompletnym niepowodzeniem.

Zrobiło się późno, więc postanowili zakończyć tą, niestety, bezowocną pracę i wracać do miasta. Michał dręczony był nie tylko pytaniami powiązanymi z płótnem, bliznami i całym zamieszaniem, ale także jeszcze jedną kwestią, którą chciał koniecznie poruszyć.

– Jurek – zaczął trochę niepewnie. – Pamiętasz ten dzień, kiedy zginęła Justyna?

Ksiądz, słysząc te słowa, zatrzymał się i spojrzał na Michała. W następnej chwili starał się odgadnąć dalsze myśli przyjaciela.

– Wtedy ty… Ty uratowałeś mi życie, a ja nawet nie podziękowałem ci za to. – Michał spuścił głowę. – Wiem, że gdyby nie ty, już bym nie żył. Dzięki twoim słowom nie postąpiłem tego jednego kroku, przez który ona zginęła. Dziękuję…

– Tak. Jeden krok wiele może zmienić. Jedynie w tej kwestii masz rację. – odpowiedział Jurek i, co dziwne, roześmiał się. – A czy ty nie uratowałeś mi życia w Turcji? Czy nie ty wyciągnąłeś mnie z bagna? Czy nie dzięki tobie stoję tu teraz i rozmawiam? Wtedy to ja postawiłem jeden nieostrożny krok i wylądowałem w błocie. Dokładnie tak samo wówczas pomyślałem. Jeden krok i byłoby inaczej. Myślę, że wszystko, co nam się przytrafia, jest częścią jakiegoś wielkiego planu, a my jesteśmy jedynie małymi, głupimi częściami, które często poruszają się niczym tryby, nieświadome swego losu i przeznaczenia. – Ksiądz, mówiąc to zmienił się na twarzy. Jego oczy wpatrywały się w dal, a usta lekko drżały. – Nie zrobiłem niczego niezwykłego. Tak, niestety, widocznie miało być.

– Mimo wszystko dziękuję.

Michał wiedział, że jest dokładnie tak, jak mówił ksiądz. Jednak nie potrafił zrozumieć, dlaczego została mu odebrana narzeczona. Nie potrafił zrozumieć sensu zakończenia tak młodego i wspaniale zapowiadającego się życia. Niewiele więcej mówiąc zamknęli magazynek i wrócili do swych domów.

… I porodziła syna – Mężczyznę,
który wszystkie narody będzie pasł rózgą żelazną …
Ap. 12,5

Początek maja był ciepły i w pełni zapowiadał nadchodzące lato. Marta wiedziała, że jest w takim stanie, iż moment rozwiązania może nastąpić niemal w każdej chwili. Jej dni wyglądały bardzo podobnie. Po rzadko kiedy przespanej, lub nawet zanotowanej w pamięci nocy, następował pełen bólu i czarnych plam dzień.

Spożywając śniadania, jedyną rzeczą, jaką pamiętała było to, że je zjadła, jednak nie miała pojęcia, jak i kiedy je robiła oraz, co było jego treścią. Złe samopoczucie i niewytłumaczalne lęki towarzyszyły jej niemal w każdej chwili. Odczuwała ból, jednak nie potrafiła dokładnie zlokalizować jego źródła. Nie bolały ją nogi, krzyż, czy inne typowe dla kobiet w ciąży miejsca, ale coś innego. Czasami myślała, że w swym łonie, zamiast dziecka, nosi cierpienie, dlatego czym prędzej chciała się go pozbyć i rozpocząć nowe życie.

Proste rzeczy, jak spacery, czy drobne zakupy, które niegdyś przynosiły jej radość i uśmiech, stały się bezsensowne, naiwne i głupie. Marta nie potrafiła odnaleźć radości w niczym i w nikim. Wszystko dookoła stało się szare, smutne i przygnębiające.

Telefon dzwonił, a Marcie wydawało się, jakby dzwonił już od wielu godzin. Podniosła głowę i spojrzała przed siebie. Leżała na łóżku przykryta kołdrą. Nie pamiętała, kiedy i jak kładła się spać i czy minął już kolejny dzień. Sytuacja taka nie zdziwiła ją bardzo, bo niestety, zdążyła się już do niej przyzwyczaić.

Powoli wstała mając nadzieję, że telefon za chwilę przestanie dzwonić. Niestety, wciąż dzwonił, jakby po drugiej stronie był automat, który nie przestanie, dopóki nie otrzyma połączenia. Marta zbliżyła się do telefonu i podniosła słuchawkę.

– Słucham – wypowiedziała niezwykle zaspanym głosem.

– Marta?? – Głos w słuchawce wydał się jej znajomy, ale nie skojarzyła, do kogo może należeć.

– Witaj Marto, ciotka Elkaro się kłania.

Przed oczami Marty momentalnie pojawiła się gruba postać ciotki. Jej okrągła, poorana prawie sześćdziesięcioletnimi bruzdami twarz, otoczona była kosmykami czarnych włosów, z których każdy zdawał się mieć oddzielny pomysł na to, jak i gdzie będzie leżał. Niemal zawsze ubrana na czarno, otoczona dymem papierosowym uśmiechała się do niej szeroko i serdecznie.

– Cześć ciociu – bąknęła Marta, szczerze zdziwiona telefonem. – Co dobrego u cioci?

– U mnie nic się nie zmieniło, ale bardzo jestem ciekawa, co u ciebie słychać?

Pytanie było równie zaskakujące, co sam telefon i przez chwilę nie bardzo była w stanie cokolwiek powiedzieć. Ciotka nie mogła wiedzieć o ostatnich wydarzeniach i o tym, że Marta jest w ciąży. Tego nie powinien i nie mógł wiedzieć nikt z jej rodziny. Jednak taki telefon obudził w niej obawę i głęboką podejrzliwość.

– Wszystko dobrze. – Siliła się na jak najbardziej obojętny ton. – A, co u cioci? – zapytała, mając nadzieję, że sprowadzi rozmowę na jej odpowiadający tor.

– Hmm… – mruknęła ciotka, a Marta w tym samym momencie zorientowała się, że jej próba

wymanewrowania rozmowy spełzła na niczym. – U mnie wszystko w najlepszym porządku. – kontynuowała. – Jednak najpierw chciałabym, abyś poopowiadała mi o sobie. Nie rozmawialiśmy przecież ponad rok.

Kłamstwa nie wchodziły w grę. Ciotka Elkaro zbyt dobrze znała Martę, by nie wyczuć, że ta mija się z prawdą. Właściwie to miała jakiś wrodzony talent do odgadywania takich rzeczy. Nie chodziło tu bynajmniej o osobę Marty, ale o każdego jej potencjalnego rozmówcę. Wyczuwała kłamstwa, krętactwo i problemy niczym super czuły radar, nastawiony na temu podobne uczucia.

– Trochę działo się przez ostatni rok… – zaczęła Marta i w ułamku sekundy podjęła decyzję, iż powie ciotce całą prawdę. – Właściwie to nie wiem, od czego mam zacząć. – Choć zabrzmiało to jak frazes, to jednak rzeczywiście tak było.

W czasie, gdy Marta przymierzała się do prawdopodobnie najtrudniejszej rozmowy w dotychczasowym życiu, Behemot siedział tuż za nią i bacznie ją obserwował. Jego bystre, zielone oczy nawet na moment nie spuściły wzroku ze swojej pani. Dziewczyna wygodnie ułożyła się na fotelu, podkuliła nogi i spokojnie, powoli zaczęła mówić.

– Stało się coś złego, ciociu – powiedziała Marta, przykrywając twarz dłonią.

– Wiem, moje dziecko – wyszeptała ciotka. – Miałam dziwny sen. A takie sny nie miewa się bez powodu.

– Co się cioci śniło?

Marta momentalnie wyczuła chwilę, w której ciotka zawahała się, czy powiedzieć jej prawdę, czy też ułożyć jakieś zgrabne kłamstwo. Postanowiła podobnie, jak ona sama nie dać szans na jakiekolwiek zwodzenie.

– Tylko niech ciocia mnie nie kłamie – powiedziała trochę zbyt groźnym i zdecydowanym tonem.

– Dobrze – odpowiedziała, a Marta niemal zobaczyła, jak ciotka zaciąga się papierosem, po czym wolno i jednostajnie zaczęła mówić.

– Śniłaś mi się naga. Leżałaś w jakimś błocie, razem z całą masą różnego robactwa i wijącymi się wężami…

W momencie, gdy ciotka opowiadała swój sen, Marta zobaczyła i poczuła wszystko, o czym mówiła jej krewna. Robactwo i węże nie chodziły po jej skórze, przenikały ją na wskroś, tak, jakby jej ciało było na wpół rozłożone. Nie mogła ich odgonić, ani zabić. Były wszędzie. Wyczuwała każdy, nawet najmniejszy ich ruch. Ogarnął ją strach i chłód.

Dziewczyna nie miała zielonego pojęcia, co może oznaczać takowy sen. Chciała przerwać ciotce, ale ciekawość, co powie dalej była silniejsza niż mnożące się w głowie pytania.

– … jeden z nich cię ugryzł. A twoja rana zaczęła dziwnie krwawić i wyszło z niej… wyszło z niej dziecko, ale takie inne, takie jakby nie ludzkie…

Wszystkie słowa ciotki wbijały się w Martę niczym lawina twardych skał. Każde kolejne uświadamiało jej oczywistą prawdę, której nie widziała i nie rozumiała wcześniej.

– Moje dziecko… – szepnęła na tyle cicho, iż ciotka tego nie usłyszała. – Ono jest…

Słowa, które chciała wypowiedzieć, ugrzęzły w gardle. Jakaś siła trzymała jej krtań w silnym, żelaznym uścisku. Kolejna fala zimna ogarnęła jej ciało. Członki odmówiły jej posłuszeństwa, szyja stała się twarda niczym pień, a brzuch zaczął wciągać wszystko dookoła. Jej siła, wola i myśli zaczęły spływać coraz niżej i niżej. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Chciała zrobić cokolwiek, ale jej wola nie należała już do niej. Ostatnia rzeczą, jaką usłyszała były słowa ciotki.

– …to… to była jakaś bestia…

Znalazła się w więzieniu. Kratami był tam strach, strażnikiem brak woli, a murami brak na-

dziei.

Była we własnym ciele, ale nie była już jego częścią. Sama dla siebie stała się inną, zupełnie obcą osobą. Patrzyła oczami, które niegdyś były jej własnymi i słuchała to, co mogłaby słyszeć, gdyby wciąż w nim była. Teraz jedynie jakaś niewielka cząstka jej duszy pozostała tam, niczym ślepy, głuchy i nieruchomy świadek.

Poczuła zbliżający się poród. Wody płodowe odeszły i trochę zdziwiła się, że wie i czuje, gdzie rozpływa się każda kropla, która przed momentem była w jej ciele.

Chwilę później znalazła się na łóżku, ale nie było to w jej domu. Marta leżała w karetce. Nie wiedziała i nie zastanawiała się nawet, jak się tu dostała. Po chwili widziała niebo, a w następnej biały sufit. Stanęła nad nią postać w masce, to lekarz, jest więc w szpitalu. Wokół siebie słyszała mnóstwo rozmów, ale nie rozumiała z nich nawet jednego słowa.

– To dziecko nie może się urodzić. – Zakołatało w jej myślach.

Resztkami siły woli uniosła rękę, łapiąc lekarza za fartuch. Wysiłek ten okupiła uczuciem wyrywanego serca. Nie mogła krzyknąć, ani nawet się skrzywić. Jej dusza płonęła ogniem najpodlejszych i najgorszych uczuć, jakich nawet nie można sobie wyobrazić.

– Walka. Trzeba walczyć, bo nie może tak się poddać. – Kolejna myśl napłynęła nie wiadomo, skąd.

Musi to zrobić. Resztka świadomości, jaka jej pozostała, mówiła, iż nie może być bierna, nie może się poddać i choćby jej cierpienia wzrosły stukrotnie, musi je pokonać.

Marta zaczęła zbierać siły do walki. Za oknem szpitalnym świeciło słońce, zachęcając do spacerów i zabawy na świeżym powietrzu. Jednak dusza Marty znajdowała się w studni wypełnionej grozą i potępieniem.

Wiał na nią wiatr, niosący ze sobą całą gamę najróżniejszych cierpień. Czuła go z każdej możliwej strony, tak, jakby jej dusza przyciągała wszystko, co złe i podłe. Wszystkie grzechy wchodziły w nią, przepełniając jej brzegi. Gdy sądziła, że zostanie już na zawsze unicestwiona, nadchodziła kolejna, jeszcze większa i mocniejsza fala. Ciało nie mogłoby znieść takiego ogromu bólu, jednak ta niewielka cząstka duszy dalej trwała i wciąż walczyła.

Nagle obok niej ktoś się pojawił. Był to ktoś, kto mógł jej pomóc. Nie był to człowiek, ale Marta była pewna, że jest tu po to, by ulżyć jej cierpieniom. Poczuła delikatne ciepło i spokój, jaki bił od przybysza. Z każdą chwilą był coraz bliżej i dawał jej kolejną porcję ukojenia i ulgi.

– Ja cię znam – pomyślała.

Teraz było to dla niej jasne i oczywiste. Jak mogła tego wcześniej nie widzieć i nie rozumieć? On był przy niej cały czas. Strzegł, pilnował i na wszystko miał baczenie. Marta zrozumiała sens i całą jej życiową drogę. Wszystko było dokładnie zaplanowane i ułożone, a on dbał, by niepojęty dla człowieka plan się ziścił. Wszystko zrozumiała. Czas, pieniądze, ludzka wiedza, czy jakiekolwiek inne rzeczy przestały mieć znaczenie. Jej dusza rozbiła się na niepoliczalne części i każda z nich żyła własnym oddzielnym życiem.

– To jeszcze nie koniec. – Poczuła z zewnątrz i ze środka. Części duszy znów zespoliły się w całość.

Poczuła wir, który wciągał ją w jakiś ciemny tunel. Uczucia strachu, bólu i cierpienia na nowo powróciły. Przepływały przez nią odbierając jej wszystkie wspomnienia, jakich przed chwilą doznała. Wszystko zostało zalane i zamazane potokiem cierpień.

Znowu stała się kobietą, przypomniała sobie swoje imię i to, co działo się w czasie jej życia. Pozostała jedynie pamięć o uczuciach, jakich doznała. Jednak w żaden sposób nie mogła ich sobie przypomnieć, ogarnąć ani zrozumieć.

Wszystko nagle się zatrzymało. Czas stanął, jakby czekał na odpowiedni moment, by ponownie ruszyć.

Wybuch zła przerodził się w płacz dziecka. Niemal wszystko odpłynęło w kierunku jej podbrzusza. Nadal jednak nie miała pełnej władzy nad swoim ciałem. Powróciła do swego więzienia.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło i w jakim stanie się znajduje. Była pewna jednak tego, iż dziecko się urodziło, a ona nie mogła nic zrobić, by temu zapobiec. Nie była już tą samą osobą, którą była wcześniej. Jej świadomość i psychika zostały na trwałe zniszczone. Myśli w jej głowie błądziły niczym ślepiec zamknięty w labiryncie bez wyjścia. Chciała je wyłączyć i pogrążyć się w błogim niebycie, jednak jedna z myśli powróciła.

– Muszę walczyć, by zgładzić to dziecko.

Opadła na łóżko, tracąc resztki świadomości. Promienie zachodzącego słońca oświetliły jej bladą, spoconą twarz.

*****